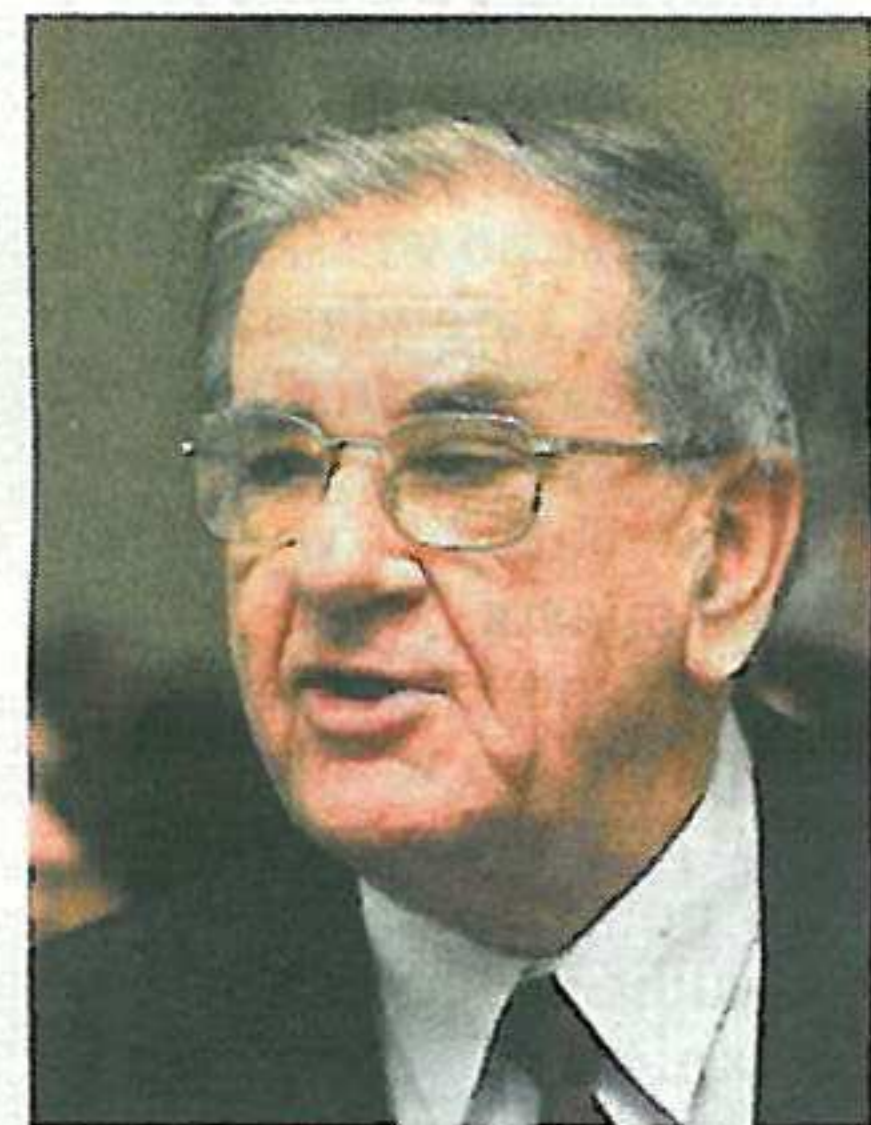


Ze wspomnień Ślązaka

Rozmowa z Józefem Musiołem, sędzią Sądu Najwyższego w stanie spoczynku



Panie sędzio, znamy pana jako doskonałego prawnika, sędziego Sądu Najwyższego, a także literata i erudyty. Ale ja poproszę pana o garść wspomnień z lat wcześniejszych, zanim rozpoczął pan prawniczą karierę. Jest pan Ślązakiem... Oczywiście. Pochodzę z rodziny o powstańczej korzeniach. O Śląsku nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę. Lata spędzone w miejscu mojego urodzenia i pochodzenia są w moim sercu. To są korzenie, które „trzymiom” i nic, ani nikt nie może ich z mojej duszy wyrwać.

Był pan uczniem Liceum Ogólnokształcącego w Wodzisławiu Śląskim. W szkole ma pan swoje miejsce w gronie wybitnych absolwentów. Jak pan wspomina tamte lata?

Moje liceum nazywano wówczas „Jedynką”. Była to pierwsza w historii tego miasta szkoła średnia. Pamiętam, że kiedy byłem klasie maturalnej zjawił się u nas podinspektor z Wydziału Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Rybniku i zaproponował nam uczęszczanie na kurs pedagogiczny. Jego ukończenie i zdanie egzaminu po maturze dawało dyplom nauczyciela szkoły podstawowej. Byliśmy młodzi,

chcieliśmy się uczyć i większość z tego skorzystała nie podejrzewając, że oznacza to po prostu nakaz pracy w szkole podstawowej. Nie wybranej lecz tej gdzie nas skierują.

I gdzie pana wysłano?

Dostałem trzyletni nakaz pracy do Szczecina, jednak tam nie pojechałem. Dzięki wstawiennictwu doktora Józefa Tumułki, byłego powstańca śląskiego, a potem oficera – lekarza Wojska Polskiego w czasie II wojny światowej. Nie obyło się bez „wizyty” w Ministerstwie Oświaty w Warszawie. To był rok 1951, ciężkie czasy i dla nas – Ślązaków niełatwe. Warszawa była wtedy jeszcze w gruzach. Nigdy nie zapomnę obrazu zrujnowanego miasta... No ale ostatecznie zmieniono mi nakaz pracy na powiat rybnicki i skierowano do Szkoły Podstawowej w Kokoszycach. Codziennie dojeżdżałem z Jastrzębia – Moszczenicy do Kokoszy, a dojechać mogłem pociągiem tylko do Wodzisławia, potem już na rowerze, do Kokoszy. W 1952 roku zmieniono mi szkołę z Kokoszy na Bełżnicę. Tam przynajmniej mogłem pociągiem dojechać, przesiadając się w Wodzisławiu na pociąg relacji Rybnik – Chałupki.

Podobała się panu praca w Bełżnicy?

Kierownikiem szkoły była kobieta, a mało kto wie, że wtedy było to rzadkością. Nazywała się Jadwiga Król. Pamiętam ją jako panią wielkiej kultury, powiedziałbym nawet – dystygowaną. Zostałem wychowawcą dwóch klas, uczyłem głównie historii. Budynek szkoły nie był wielki, znajdował się tuż przy głównej drodze. Klasy były łączone. Praca w Bełżnicy była dla mnie ciekawym doświadczeniem.

Co ciekawego mogło zdarzyć się w niewielkiej szkole, prawie zapomnianej przez Boga i ludzi...

No właśnie ludzie. Kierow-

niczka szkoły (dzisiaj dyrektorka) stwarzała atmosferę pełnego zaufania. Pomagała młodym nauczycielom. Młodzież była wychowana w szacunku dla starszych, a szczególnie nauczycieli. Uczyłem w jednej z ostatnich klas, a trzeba wiedzieć, że istniał wtedy przepis, że dotąd uczeń musiał chodzić do szkoły, aż ją ukończy... Było więc w tej klasie paru całkiem już dorosłych ludzi. Jeden z uczniów był ode mnie niewiele młodszy, repetował kilka razy i starał się przeprowadzić klasie za pomocą metod, których nie uznaliśmy za zgodne z prawem. Kiedyś wszedłem do klasy, a któraś z uczennic płakała. Na moje pytanie o przyczynę, uczennice chórem powiedziały, że to ten chłopak jest agresywny. Podszedłem do niego i zapytałem: jak mogłeś to zrobić? Wstań, jak do ciebie mówię. Nie wstał. Kolejny raz powtórzyłem „wstań, gdy do ciebie mówię” i wtedy już nie miałem wątpliwości, że chce mnie uderzyć. Dziewczynki zawołały „panie rektorze, panie rektorze Ion chce pana piznąć” (czyli uderzyć). Nie miałem wyjścia, musiałem ostro zareagować. I nawet się nie spodziewałem, że ten chłopak będzie uczniem odmienionym, budował ze mną bieżnię i boisko do siatkówki, a zimą wyjeżdżał z nami na zawody narciarskie. Gdyby wówczas on mnie uderzył, nie miałbym co w tej szkole robić. Metody wychowawcze w owym czasie były inne niż dzisiaj.

Młodzież i starsi to odwieczny konflikt pokoleń. Ale pan był przecież wówczas niewiele starszy od swoich uczniów...

No tak, i na zakończenie roku szkolnego czekałem prawie tak samo niecierpliwie jak moi uczniowie. A uczniowie, którzy kończyli szkołę, organizowali na koniec roku przyjęcie. Uczennice wszystko same przygotowywały – obiad z trzech dań, potem kołocz śląski z herbatą i lemoniadą. Pamięcią sięgam

do jeszcze jednego wydarzenia. Jest trochę humorystyczne, trochę makabryczne. Pewien nauczyciel odwiedzał koleżanki i kolegów z sąsiednich szkół i często wracał pod wpływem alkoholu. Pewnego razu przybiegł do mnie uczeń – syn miejscowego gospodarza i mówi: „na kirchowie (cmentarzu) leżom łózały pan rektor i musimy go przywieźć. Musi pan pomóc. Jo, tu już stojo z forum”. Okazało się, że kolega wracając nocą przez cmentarz wpadł w dopiero co wykopany grób i tam sobie smacznie spał, a za godzinę miał się odbyć pogrzeb.

Czasy stalinowskie to mroczny okres. Czy w małej miejscowości też odczuwało się oddech polityki? Czy dało się żyć?

Byli szpicle i konfidenci... Ale my, jak każdy, chcieliśmy żyć, mieć chociaż złudzenie wolności. Dlatego w szkołach odbywały się też zabawy. Pamiętam jedną z nich. Zabawa w klasie na całego, bractwo się upiło. Kierownik szkoły usiadł za fisharmonią i zaczął grać. Wywiązała się jakaś sprzeczka, a już wkrótce regularna bitwa wszystkich przeciwko wszystkim. Pamiętam jak ktoś wołał: „Alkoholizm szkodzi organizmus”. Uciekliśmy do jakiejś klasy, a następnie gdzieś zza Olzy powoli wracaliśmy do pociągu. Zimą 1952/1953 z młodzieżą szkolną wybrałem się na narciarskie zawody szkół do Jastrzębia Zdroju, gdzie wówczas, w miejscowym parku była nawet skocznia narciarska. W szkole, przy pomocy tych najbardziej niesfornych uczniów udało mi się wybudować bieżnię oraz boisko do siatkówki. Chyba ten mój „przeciwnik z klasy” wraz z kolegami wycięli nielegalnie dwa drzewa w lesie, odpowiednio je obrobili i można było wieszać na nie siatkę. Dokładnie nie pamiętam, ale mogło to być chyba w marcu 1953 r., kiedy do domu w Jastrzębiu – Moszczenicy przyszło wezwanie z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Rybniku do stawienia się „w sprawie ... własnej”.

Bał się pan?

Nawet nie wiem czy się bałem. Do Rybnika jechałem pociągiem i na dworcu, zegnając się z kolegami powiedziałem tylko: „no koledzy, idę do UB, jakby co; to powiadomcie kogo trzeba”. UB mieściło się na ul. Zawadzkiego. Pamiętam wysokie drzwi. Wszedłem, a tam stał funkcjonariusz z pepeszą. Pokazałem mu wezwanie, a on kazał mi czekać. Usiadłem na ławce w korytarzu za wysokimi

drzwiami wyjściowymi. Po około pół godzinie zwróciłem uwagę strażnikowi, że czekam. Funkcjonariusz powiedział, że mam czekać. Na to ja, że może pójde „na miasto” i coś tam sobie załatwię. Na co ubek ubrany w mundur, z pepeszą, z lufą skierowaną w dół, stanowczo odrzekł: „stąd się nie wychodzi, dopóki nie zostanie jego sprawa załatwiona”. Dodał jeszcze „... i nie zostanie zwolniony”. Czekałem więc godzinę, potem jeszcze godzinę, aż w końcu zostałem wezwany do podłużnej sali konferencyjnej z długim stołem ustawionym na środku pomieszczenia. Na końcu stołu siedział funkcjonariusz ubrany w cywilną marynarkę, pod którą miał koszulę wojskową. Na stole miał jakieś papiery, w które zaglądał i w pewnym momencie ustalał moje dane personalne. Ja siedziałem na drugim końcu stołu. W pewnym momencie usłyszałem: „opowiedzcie swój życiorys”. Miałem wtedy 20 lat i mój życiorys nie mógł być zbyt bogaty. Gdy skończyłem usłyszałem znów: „opowiedzcie swój życiorys”. Powiedziałem, że już to zrobiłem. „Ja was nie pytam czy wyście przedstawili swój życiorys, tylko mówię abyście opowiedzieli swój życiorys” – skwitował zimno ubek. Zacząłem więc od początku. „A przed wojną ilu mieliście ludzi, którzy u was musieli pracować?” – padło pytanie. „Nie wiem, miałem sześć lat, ale wszyscy musieliśmy pracować, ja na przykład pasłem krowy ze starszym rodzeństwem” – odpowiedziałem. „A ilu zeście mieli pracowników najemnych? A jak okupacja?” – odpytywał. Odpowiedziałem, że hitlerowcy nam wszystko zabrali. Ojciec brał udział w obronie i przez całą okupację był na Węgrzech, jeden brat został rozstrzelany przez Niemców, a siostra aresztowana przez gestapo”. I tu ubek mi przerwał pytając „Za co?” „Za udział w ruchu oporu” – powiedziałem. „W jakiej organizacji?” – padło kolejne pytanie. „Nie wiem, ale w takiej, która walczyła z okupantem” – wyjaśniłem. I wtedy znów usłyszałem „No to opowiedzcie swój życiorys”. Wreszcie po kilku godzinach pozwolono mi wyjść. Teraz, po latach zastanawiam się, dlaczego nie ujawniłem, że jako jedenasto-, może dwunastolatek przenośliłem meldunki do kilku miejscowości, w których żołnierze AK mieli swoje „bunkry”, na przykład u Franciszka Bialeckiego w Gogołowej – miejscowości leżącej zupełnie na uboczu, u Kani lub

u Kaniów na Pochwacu. Co mnie powstrzymało, że się po prostu nie pochwaliłem? Gdybym mu to powiedział, zgubiłbym siebie i dobrych ludzi. Co by się z nimi stało? A przecież pamiętałem ich nazwiska? Po wojnie UB starało się wszystkie bunkry i siedziby żołnierzy AK dokładnie ustalić, aby wszystkie osoby związane z Armią Krajową objąć specjalnym nadzorem.

Nie poczuł się pan wtedy jak bohater? Przetwał pan wielogodzinne przesłuchanie i nikogo nie zdradził. A przecież nie wiedział pan co UB wobec pana planuje...

Jaki tam ze mnie bohater... Człowiek po prostu i Ślązak. A Ślązacy mają mocne kręgosłupy. Życie i historia tak nam je ukształtowały.

A kiedy Stalin umarł, czy coś się zmieniło?

Nie wiem czy ta moja przysługa z UB była przed czy po śmierci Stalina. Śmierć Stalina wywołała poruszenie od góry po same doły. Powiało grozą: wódz świata umarł, ojciec narodów, niezwyčajony generalissimus, najwybitniejszy z wodzów. Opuszczone flagi w kirem, a w klasie bodaj trzeciej zatrzwożenie i płacz. Blondynka jak aniołek z płaczem pyta: „panie rektorze i kto nom teraz bydzie bronil pokoju?”. Okna mojej klasy znajdowały się od strony ulicy. W Rybniku ktoś w partii uznał, że nasza szkoła nie należy wyraziła ból po śmierci Stalina. Prawdę mówiąc, to często się zastanawiam, czy to wezwanie do UB miało związek z nienależnym uszanowaniem śmierci „wodza narodów”, czy też z treścią mego listu, który wysyłałem do różnych władz w sprawie blokowania moich starań o dopuszczenie na studia wyższe. Muszę przyznać, że w liście było wiele nieprawomyślnych zwrotów. A przecież wtedy za o wiele mniejsze „przewinienia” można było „podpaść”, a ja na dodatek byłem synem kułaka, a więc członka klasy społecznej, którą programowo niszczone.

Ale pan przetrwał tamte czasy, skończył studia, zrobił karierę prawniczą...

Bo miałem na czym się oprzeć, na wartościach wyniesionych z rodziny i Śląska. Propaganda zniewalała umysły szczególnie młodych ludzi, którzy nie znali innej Polski. Jedyną obroną przed tą nawałnicą kłamstwa była rodzina i Kościół. Te dwie instytucje były wówczas filarami obrony. Dzisiaj zadają sobie pytanie: jaki był dla mnie ten

